



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: ZMIANA WARTY

Idący na naszych ekranach amerykański horror „Critters” w reżyserii Stephena Hereka jest czymś w rodzaju popłuczyn po filmie Joe Dantego „Gremliny rozrabiają”.

Tamten film - wywodzący się, notabene, ze „szkoły” Spielberga - opierał się na dobrym, niekonwencjonalnym pomysłem; był doskonale poprowadzony przez reżysera, który potrafił ponadto nasycić go atmosferą baśniowości i swoistą nutą poezji. „Gremliny”, owa przepełniona agresywnością i okrucieństwem opowieść o przerażających, niewielkich stworach opanowujących w dzień wigilijny jedno z amerykańskich miasteczek i rzucających się z zjadłością na ludzi; ta historia z gatunku „science fiction”, czy też raczej: z równoległego do niego gatunku - „fantasy”, mimo całej swojej „współczesności” była jakby wyjęta ze starych, klasycznych baśni braci Grimm.

W „Critters” mamy, niestety, do czynienia tylko z bezustannym mnożeniem przerażających sytuacji, „mrozących krew w żyłach” scen i... rozdziawionymi paszczami żarłocznych Kritów, małych puszystych stworów toczących się z obłądną szybkością po ziemi i pochłaniających wszystko, co napotkają na swojej drodze.

Kritowie przybyli na Ziemię z jakiejś galaktyki porwawszy statek kosmiczny wiozący ich do więzienia; ścigają ich specjaliści międzygalaktyczni tropiciele przestępców - i to jest jakby cytat z Lucasa i jego licznych filmowych „gwiazdnych wojen”. Po przybyciu na naszą planetę Kritowie „zadomowili się” w obejściu jednego z amerykańskich farmerów; prześladują jego i jego rodzinę, nic sobie nie robią z miejscowej policji a nawet - samego szeryfa; dopiero przejęcie inicjatywy przez dziesięcioletniego syna farmera oraz wejście przez niego w „układy” z kosmicznymi „tropicielami przestępców” sprawia, że Kritowie zostają pokonani - i to, z kolei, jest jakby cytat żywcem wyjęty z filmów Spielberga. Aliści wszystko tutaj, niestety, zaczyna się i kończy na „cytatach”, na mniej lub bardziej udanym naśladownictwie, a prowadzi w końcu - do odczuwanego przez widza znużenia i... oczekiwania, kiedy na ekranie ukaże się upragnione słowo: „koniec”.

Współczesne „baśnie filmowe” wprowadzone na ekran przez Spielberga i Lucasa (a wkrótce, potem przez całą plejadę ich uczniów i wyznawców) i przyjęte z niewyobrażalnym wprost entuzjazmem przez młodych i starszych widzów, teraz w sposób zaskakująco szybki

zaczynają się publiczności przejadać. Początkowe zainteresowanie i ogromne sukcesy kasowe przyniosły tak wielki (i tak jednostronny) napływ na ekrany podobnej tematyki, że nagle zaczęliśmy mieć po dziurki w nosie bohaterów w rodzaju księżniczki Leji i Hanna Solo, zabawnych, kłócących się między sobą robotów o najwyższym stopniu inteligencji, wstrętnych kosmicznych potworów, szlachetnych gwiazdnych rycerzy Jedi, oszalałych Gremlinów, krwiożerczych Kritów, i nawet sympatycznych, małych, zagubionych w naszym świecie - „E. T.”

Nic dziwnego, że prędzej czy później musiało dojść do swoistej „zmiany warty” w wielkich filmowych „aglomeracjach” artystycznych. Już wiele miesięcy temu zwrócił na to uwagę francuski reżyser Roger Vadim, pisząc na łamach tygodnika ilustrowanego „Paris Matak”: „Młodzi reżyserzy zapomnieli o „komputerach” Spielberga i przykładają więcej uwagi do tego, aby odwoływać się w swych filmach także do inteligencji młodych widzów, których dotąd Spielberg i Lucas zwodzili - niczym (dawnych) Murzynów – „kolorowymi paciorkami” filmowymi”.

Ogromny tegoroczny sukces artystyczny (dwa „Oscary”: za najlepszy film i za reżyserię), jaki stał się udziałem amerykańskiego filmu „Pluton” (o wojnie w Wietnamie) oraz jego scenarzysty i reżysera Olivera Stone’a - idący z nim w parze wielki sukces kasowy (również wśród młodzieży), wydają się świadczyć o słuszności przewidywań i stwierdzeń Vadima i wielu innych ludzi filmu.

W kinie amerykańskim zaczyna dochodzić do głosu nowe pokolenie reżyserów, z którym poważnie muszą się liczyć Spielberg, Lucas czy Coppola, nie mówiąc już o Sylwestrze Stallone. Objawiło się także na ekranach młode pokolenie gwiazd aktorskich. Niektóre z nich, jak Kathleen Turner czy Eddie Murphy, są już nam dobrze znane, inne – poznamy zapewne w niedalekiej przyszłości. Warto już więc dzisiaj o nich wspomnieć przynajmniej w kilku słowach:

Trzydziestodzielni Mickey Rourke debiutował w filmie Stevena Spielberga „1941”, ale sławę i ustabilizowanie na rynku filmowym przyniósł mu sukces aktorski w „Rusty James” (1983 r.) Francisa Forda Coppoli. Jedną z największych nadziei kina amerykańskiego, Tom Cruise, ma dwadzieścia cztery lata; został „odkryty” przez Coppolę w 1982 r., który zaangażował go do swego filmu „Outsiders”. W tymże filmie zagrał również (dwudziestodwuletni obecnie) Rob Lowe, (choć, prawdę mówiąc, większy rozgłos od aktorskiego sukcesu przyniósł mu romans z młodszą córką Grace Kelly, bardzo niekonwencjonalną księżniczką Monaco, Stefanią Grimaldi). Duże nadzieje rokuje dwudziestodwuletni Matt Dillon.

Jeśli chodzi o kobiety, to w absolutnej „gwiazdnej czołówce” plasuje się wspomniana już Kathleen Turner. Dwudziestodwuletnia, a więc nie tak już młoda, aktorka należy do

najlepiej opłacanych gwiazd Hollywoodu; za film otrzymuje trzy miliony dolarów. Ostatnio oglądaliśmy ją na naszych ekranach w „Honorze Prizzich” Johna Hustona. Coraz głośniejszą o byłej modelce z nowojorskiej agencji fotograficznej, kreowanej na nowy sex-symbol, blondynce Kim Basinger, „objawionej” w filmie „Dziewięć i pół tygodnia”, oraz o także ex-modelce, ciemnowłosej Kelly Le Brock, po zagranieniu przez nią w filmie „Kobieta zw czerwieni”. Wymieńmy na koniec odtwórczynię roli Amandy w słynnym amerykańskim tasiemcowym serialu „Dynastia”- Catherine Oxenberg. Może warto tu dodać, że Catherine Oxenberg jest córką księżniczki Elżbiety Jugosłowiańskiej.

Na ile w ciągu najbliższych lat ta młoda aktorska czołówka amerykańskiego kina zagrozi takim jego filarom jak Jane Fonda, Shirley MacLaine, Marlon Brando, Clint Eastwood, Jack Nicholson, Robert Redford? I czy naprawdę nieodwracalnie, zachwiała się pozycja Stevena Spielberga i George Lucasa?

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 16, s. 9.